Nr. 3. 1891 r. **Ogólnego Wydawnictwa Rok XIV.**

GONIEC i ISKRA

Dziennik dla wszystkich, illustrowany.

Lwów, dnia 20. Stycznia 1891 r.

Goniec i Iskra wychodzi trzy razy na miesiąc: 1, 10. i 20. każdego miesiąca. Nadto, prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują dodatki *bezpłatne* najczęściej *illustrowane* wychodzące nieperjodycznie w każdym miesiącu, oraz osobne *bezptatne premia illustrowane.* Prenumerata na **Gońca i Iskrę** wynosi tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. W poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce północnej 20 franków (4 dolary); rocznie w Ameryce południowej, w Brazylji, Australji i innych krajach zaoceanowych 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Nadesłane po 20 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych.* — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego miejscowego prenumeratora. — Numer pojedyńczy kosztuje **25 centów.**

Właściciel i naczelny redaktor: M. D. Chamski.



— Proszę pana doktora, jabym chciała, żeby mi pan doktor zaszczepił ospę, bo się obawiam, aby naturalna nie przyszła — ale nie chciałabym szpecić sobie ramion, zwłaszcza, że często muszę być dekoltowaną — więc, czyby nie można zaszczepić mi ospy na nodze — wszak to wszystko jedno...

— Tak — wszystko jedno dla ospy, ale nie dla lekarza...

Od Wydawnictwa.

Rozpoczynając rok XIV. wydawnictwa, z umysłu nie piszemy obszernej rozprawy o tem, co było i o tem, co ma być. Było tak, jak w twardych naszych stosunkach i ciężkich warunkach bytu, mogło być najlepiej — będzie tak, jak pozwolą siły, cały zapas dobrej woli, najlepszych chęci i szczerego patrjotyzmu polskiego, który był, jest i będzie zawsze naszym codziennym pacierzem i artykułem wiary. Pismo nasze będziemy redagować w tym samym duchu i kierunku, będziemy urozmaicać i dołożymy wszelkich starań, aby było pouczające, pożyteczne i przyjemne. Za usterki w wydawnictwie, jeśli były jakie, serdecznie przepraszamy — ciężko jest wszystkim w naszych stosunkach, ale najciężej, niezawodnie, wydawnictwom perjodycznym w Galicji.

Szanownych prenumeratorów naszych prosimy uprzejmie, aby byli łaskawi odnowić bieżącą i wyrównać zalegającą prenumeratę, nadmieniając że wszelkie zaległe rachunki, są dla wydawnictwa bardzo uciążliwe. Wszelkie korespondencje tak zwykłe, jak pieniężne adresować należy:

Administracja „Gońca i Iskry“
we Lwowie
ulica Kraszewskiego l. 23.

Od ręki.

= Trochę do „Trybuny“, trochę o „Trybunie“, trochę z powodu „Trybuny“..

Na *list otwarty*, do redakcji „Trybuny“ który w zaprzeszłym tygodniu nasz redaktor zmuszony był ogłosić, dała rzeczona „Trybuna“ z podpisem „*Redakcja*“ odpowiedź, przypominającą nam pewnego zbankrutowanego oficjalistę, który oburzając się na swego wierzyciela na serjo mówił: „nie dość, że pożyczył, jeszcze się upomina!..“ Być nadętym, a być poważnym — to jest bardzo wielka różnica, tak samo, co innego wykręcać się, a co innego tłomaczyć się jasno i uczciwie. Odpowiedź redakcji „Trybuny“ jest ogólnikowym frazesem obmyślonym z perfidją złego człowieka, który umywa niby ręce od wszystkiego, ale umywa w brudnej wodzie... W całej tej ohydnej sprawie, w której „Trybuna“ uważała za stosowne zabrać głos pełen obłudy, zawiści i arogancji — można się było, ostatecznie, powodować osobistą antypatją, bo to rzecz ludzka, ale, czy wolno ją było posunąć tak daleko, żeby aż stanęła obok potwarzy, jak to, właśnie, uczyniła „Trybuna“ — chyba najzaciętszy wróg nie zgodziłby się na to. Redaktor „Trybuny“ p. Juljusz Starkel trącający o jakąś śmieszną czyjąś „rutynę“ i przyjmujący z obłudą starego gracza cudze oszczerstwo, za podstawę do swoich celów — zechce pamiętać, że broń tego rodzaju, jest dla niego samego stokroć niebezpieczniejsza, bo, gdy jej ktoś użyje — trzeba się będzie tłomaczyć nie z ogólnikowych, lecz z faktycznych i to bardzo ciężkich zarzutów... Co zaś do samej „Trybuny“ i jej jakichciś tendencyj i demokratyzmu — to jest po prostu licha maskarada, w której brak utalentowanych aktorów. Czas wkrótce pokaże, jak daleko ci panowie zajadą i, czy rola krzywdzicieli wyjdzie im na zdrowie...

= Kronika żałobna.

Na Pałukach w poznańskiem, przez dwie doby, 7. i 8. b. m. spieszyli wdzięczni rodacy do domu żałoby w Piotrowicach, do parafialnego kościoła w Juńcewie, by ostatnią oddać usługę najstarszemu ze współobywateli, przez długi szereg lat najznakomitszemu przodownikowi na polu prac, czynów — poświęceń: ś. p. Aleksandrowi Guttrze, — przez lat sześćdziesiąt nie szukał spoczynku — jeno kolejno z niewzruszonym hartem mężnego serca, brał na siebie ciężary każdego nadarzającego się obowiązku i odcierpiał boleśnie następstwa każdej burzy, wstrząsającej ojczyzną, począwszy od onej pamiętnej nocy listopadowej w Warszawie, aż do dziś.

Był wszędzie — we wszystkich walkach, we wszystkich sprawach dotyczących Polski brał ś. p. Guttry czynny udział jako żołnierz, jako gorący patrjota — jako wzorowy obywatel. Już z wojny 1831 r. wyszedł z krzyżem *Virtuti militaris*.

Liczne też zasługi wyniosły Guttrego na krzesło poselskie, do berlińskiej Izby sejmowej. — Burzyło się wtenczas w Warszawie, w latach 1861 i następnych. Guttry więc najbaczniejszą uwagę i to nie bezczynną uwagę, zwracał w tamtą stronę. Gdy pod koniec stycznia 1863 młodzież z Warszawy ruszyła „d o l a s u“, poseł Guttry wraz z kolegami Bentkowskim, Tadeuszem Chłapowskim, Bogusławem Niegolewskim, osądził, że nie w Izbie sejmowej teraz rozstrzygają się najważniejsze sprawy i na zagrożonem, domagającem się największych poświęceń stanął stanowisku — w organizacji niosącej pomoc braciom pod berłem cara.

Skoro władze poczęły ścigać Jana Działyńskiego, który był wziął do ręki główny ster czynności — skoro poczęto więzić, Guttry, w ciągłym ruchu, który go zapędzał do Krakowa — opuścił ostatecznie kraj, udał się do Belgji, by nie tracąc wolności, nie przerywać sobie pasma podjętych starań.

Po usiłowaniach daremnych, po gorzkich zawodach, dopiero w r. 1871 wrócił patrjota do własnego, na tyle lat utraconego domu.

Tułactwo, daremne wysiłki, zawiedzione nadzieje, wyryły piętno cierpień na obliczu starca, ale głośnej skargi nie usłyszałeś nigdy z ust jego. Boleść głęboką umiał tłumić w sercu, na pozór spokojny, chłodny, niewzruszony — zawsze gotowy do czynu, gdy koniecznem było działanie stanowcze.

Przez lat kilkanaście ostatnie, dni życia starca upływały na pozór spokojnie. — Kto zmierzy wszystkie stopnie bólu, które przecierpiało zawsze gorące serce takiego patrjoty, na widok nawału ustaw wyjątkowych i następstw wszelkich?

Towarzysze jego prac, Działyński, Kosiński, Wolniewicz, Niegolewski, Chłapowski, Łubieński i tylu innych spoczęli wcześniej w grobie.

Guttry, pomiędzy nimi pono najstarszy, przeżył wszystkich! Najdłużej więc i najdotkliwiej dźwigał brzemię wielu mozołów, uczuwał w duszy krwawiące kolce zawiedzionych nadziei...

---

* Zmarł w 66. roku życia ś. p. W ł a d y s ł a w Z a w a d z k i, członek korespondent b. Towarzystwa naukowego krakowskiego i połączonej z niem Komisji fizjologicznej, tudzież Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu, korespondent c. k. centralnej Komisji konserwatorskiej w Wiedniu, Towarzystwa gospodarskiego galic. Oddziału lwowskiego członek czynny, Towarzystwa imienia Tadeusza Kościuszki w Szwajcarji i rękodzielniczego Stowarzyszenia lwowskiego „Gwiazda“ członek honorowy.

Ś. p. Zawadzki od lat kilkadziesiąt osiadły we Lwowie i tu pracując w biurze galic. Towarzystwa gospodarczego, był stałym współpracownikiem „Nowin“ i „Kółka Rodzinnego“, korespondentem do krakowskiego „Czasu“ i wielu pism warszawskich, a prócz tego wzbogacił naszą literaturę pokaźną liczbą dzieł napisanych wybornym i wytwornym językiem. Z szeregu tych prac wymienić się godzi: „Obrazy Rusi czerwonej“, „Monografia Ludwika Nabielaka“, „Zamki i kościoły“, „Historję Literatury polskiej w Galicji“, w którem to dziele znajdują się cenne szczegóły, dotyczące lokalnych stosunków literackich i dziennikarskich. Przed laty był przez pewien czas recenzentem teatralnym w „Dzienniku Polskim“.

= Powody tegorocznej ostrej zimy.

Ostrą zimę tegoroczną w Europie, przypisują obecnie meteorologowie francuzcy przypadkowemu ostygnięciu, w skutek napływu lodowców, gorącego prądu morskiego, który podmywa wybrzeża Bretanji, Irlandji i części Norwegji, a który to prąd, „gulf stroom“ płynie stale w głębi morza i sprawia, że naprzykład klimat Anglii jest łagodniejszy, niż w środkowej Francji, choć ta o wiele niżej leży, albo że w Norwegji rosną miejscami drzewa, nigdzie tego stopnia szerokości nie wytrzymujące.

Zimy tak ostre jak obecna, zdarzają się co pewien przeciąg lat i zawsze poprzedza je napływ lodowców. Tak było i ubiegłej jesieni.

Tegoroczna zima nie jest wszelako najostrzejszą. Kroniki zapisują jako najostrzejszą zimę z roku 1776. Wówczas to stanął i Ren i wartki Rodan i Tyber. W Paryżu wino marzło w piwnicach i beczki pękały.

Najwyższe mrozy jakie zapisano w Europie wynosiły: 12 stopni w Hiszpanji i Portugalji; 18 we Włoszech; 20 w Anglji; 31 we Francji; 36 w Niemczech; 41 w Polsce; 46 w Rosji Europajskiej; 55 w Szwecji.

W styczniu 1838 r. zauważono na Syberji w Irkucku 60 stopni zimna.

Człowiek silny, zdrów i ciepło ubrany, może wytrzymać 48 stopni mrozu bez wiatru. Jeżeli wiatr dmie, skóra na policzkach i rękach bardzo szybko się warzy.

Ciepło najwyższe może dojść w okolicach Afryki Środkowej do 75 stopni.

Tym sposobem skala minimum i maximum temperatury na kuli ziemskiej zawiera się w 135 stopniach.

= Z Ameryki.

Czytamy w wychodzącym w Milwaukee „Kurjerze Polskim“:

* W Milwaukee zawiązało się towarzystwo noszące nazwę „Kółka literackiego“. Dwudziestu przedstawicieli milwauckiej inteligencji, zapisało się na razie na listę członków, drugie tyle wytłómaczyło się, że przybyć na posiedzenie nie mogli, lecz przyrzekło, że zgłoszą się na przyszłym mityngu. „Kółko“ obrało tymczasowy zarząd, w którego skład weszli: Kazimierz Neuman, prezes; Ignacy Wendziński, wiceprezes; Bol. Straszyński sekr. protokułowy; dr. Napoleon Ruszczyński sekretarz finansowy; Sylwester Gurda, skarbnik. Po ukonstytuowaniu się, został upoważniony zarząd do opracowania projektu konstytucji i do urządzenia wieczoru literackiego dla ogółu tutejszej Polonii. Wieczór ten odbył się na uczczenie dnia urodzin Adama Mickiewicza. Nadto postanowiło „Kółko“ być towarzystwem samodzielnem i nie przystępowac „in corpore“ do żadnej z istniejących organizacji.

* W Chicago zaczął wychodzić „Dziennik Chicagoski“ (codzienny), wydawany nakładem Spółki nakładowej, zostającej pod protektoratem, co „Wiara i Ojczyzna“. Sądząc z dotychczas otrzymanych numerów „Dziennika“, należy przyznać, że przedstawia się przyzwoicie. Brak codziennego pisma w Chicago dawał się odczuwać od dawna.

* Komitety obchodu stuletniej rocznicy konstytucji 3go Maja, nie zasypiają sprawy. Biorą się wszędzie energicznie do urządzenia uroczystości w sposób, odpowiadający godnie ważności sprawy i patrjotyzmowi wielkiej gromady polaków, zamieszkujących amerykańską ziemię.

* Kolonia polska w Menasha wzrosła w przeciągu ostatnich dwóch lat o 100 familij. Polacy mają swój piękny kościół, którego proboszczem jest Wiel. Ks. Grębowski. Przy szkółce polskiej trudnią się Siostry Felicjanki prowadzeniem wzorowem szkoły i wychowują dzieci ku zadowoleniu rodziców. Polacy tamtejsi żyją w zgodzie, założyli tow. kościelne bratniej pomocy pod wezwaniem św. Piotra Apostoła, które rozwija się pomyślnie i liczy już 64 członków.

* W Buffalo, N. Y. koło młodzieży polskiej zakłada towarzystwo, celem pielęgnowania śpiewu narodowego. Nowemu temu towarzystwu przepowiadają wielkie powodzenie.

* W Chicago odbył się w sali szkolnej przy parafji św. Stanisława wieczorek Mickiewiczowski, na którym Szczęsny Zahajkiewicz wygłosił odczyt o poecie Adamie. W hali zaś M. Majewskiego daje szereg odczytów z dziedziny historji i literatury polskiej panna Helena Sawicka, przybyła niedawno tému ze starego kraju i odznaczająca się wyższem wykształceniem i chęcią służenia polskiemu tutejszemu społeczeństwu.

* W Brooklynie został poświęcony nowy kościół pod wezwaniem św. Kazimierza, na którą to uroczystość, oprócz dygnitarzy kościoła, stawił się ogół towarzystw świeckich i kościelnych. Księdza biskupa wprowadziły dziewice w bieli, na których czele postępowali

chorążowie niosący mnostwo różnolitych sztandarów. Miejscowym proboszczem jest ksiądz Bronikowski.

= Z Londynu.

Nie mówcie anglikom w ciągu świąt, ani o głodzie w Irlandji, ani o Parnellu, ani nawet o wielkim *Old Trop-Man*, Gladstonie. Naturalnie i o rozwiązaniu parlamentu także nie. Niech was losy strzegą od zwrócenia rozmowy do jenerała Booth, a tem więcej do jego projektów usunięcia pauperyzmu. Nawet tyle ważnej kwestji sztokfiszów i rybołowstwa na wybrzeżach Nowej Ziemi dajcie pokój. Także pora o sztokfiszach mówić! Roastbeef, turkey, plumpudding, oto rzecz. Konjugują się zaś tutaj o tej porze wyłącznie słowa: *jeść, pić i śmiać się* z wyszczerzonymi zębami przez wszystkie tryby i czasy.

Ciekawy jest podczas świąt widok targu Leadenhall market. Ile gęsi! ile gęsi! Całe *morze* gęsi, jeżeli się można tak wyrazić. Wprawdzie gęś nie wychodzi zwycięzko z porównania z *turkey*, z arystokratycznym indykiem, który na święta stał się w Anglji równie modnym, jak w poblizkiej Francji, gdzie dla zdobycia indyka ostatnią nieraz pierzynę fantują w lombardzie. Prawdziwi jednak „patrjoci" byli, są i pozostaną wiernymi tradycyjnej gęsi. Nie ze względu na Kapitol jednak. Tradycja, albowiem mieć chce, że tym sposobem składa się hołd pamięci królowej Elżbiety. Dlaczego? Dlatego, że przyjaciółka pięknego Leicestra miała właśnie na stole gęś tuczoną figami w tej chwili, kiedy otrzymała wiadomość o zniweczeniu hiszpańskiej *armady*. A to było właśnie w przededniu Bożego Narodzenia. Prosta rzecz przeto, że należy prawowitemu synowi Albionu spożywać na tę pamiątkę *Christmas gesse*. Po wieki wieczne.

W Londynie ucztują podczas świąt wszyscy. Kiedy obok we Francji „reveillon" obchodzą przew żnie tylko zamożniejsi, w drugie święto wszyscy pracują, a klasa handlowa kupczy na mrozie po barakach ulicznych, goniąc bez wytchnienia za zarobkiem, — tutaj najbiedniejsza rodzina obchodzi uroczyste święta weselej niż zwykle Zawdzięcza zaś to najczęściej istniejącym w Londynie t. zw. *Christmas-clubs*, urządzonym przez episjerów handlarzy drobiu, przekupniów wiktuałów i t. p. Przez cały rok klienci kupujący w danych sklepach, a należący do mniej zamożnej sfery, otrzymują w rodzaju premium kartki, a raczej bilety loteryjne, „tickety" dające im prawo do uczestniczenia w tomboli urządzanej właśnie przez owe; wygranę zaś stanowi indyk, gęś, pularda, pół indyka i t. p — zależnie od szczęścia. Ciągnienie odbywa się na kilka dni przed Bożem Narodzeniem.

Że „Christmas" jest i nad Tamizą świętem par excellence dziecinnem, jak wszędzie, nie potrzebuję zapewniać. Pierwsze święto *Boxing Day* jest dniem przeznaczonym na podarunki. Ale dają się one osobom zwłaszcza doroślejszym i są wdzięcznie przyjmowane przez całe dwa tygodnie. Nie są, jednak, to podarunki ani tak uciążliwe, ani tak powszechnie obowiązujące, jak w Paryżu gdzie kolęda z znaczenia konieczności dawania podarunków i to sutych, jest prawdziwą plagą, a łapę po datek pieniężny wyciąga do ciebie każdy aż do jegomościa, który u sąsiada z przeciwka fortepian przez cały rok stroił. Za to na ulicy opędzić się nie można żebrakom, włóczęgom, zamiataczom ulic, łobuzom i kto chce w tym dniu chodzić po Londynie jako tako spokojnie, musi dobrze wyładować kieszenie pensami, a baczyć, żeby go gdzie na skręcie ulicy nie obdarli. Policja ma też nie lada w tym dniu robotę.

W ciągu tygodnia świątecznego dają teatry w Londynie pantomimy. Jestto *Pantominn Season*. Dają zaś tu utwory okolicznosciowe, ale bynajmniej nie biblijne nawet pierwszrzędne teatry, jak n. p. Drury-Lane, który dawał w tym roku codzień *Beauty the Beast*. Właściwie nie są to pantominy, albowiem osoby działające mówią i śpiewają, są to raczej t. zw. „féeries." Aktualność ich polega zazwyczaj na tem, że epilog każdej stanowi rodzaj niemej już arlekinady, w której Pantalon i Clown, będący odmianą włoskiego arlekina przez cały czas bity na kwaśne jabłko nieszcześliwego policmena, ku wielkiej rozumie się uciesze gawiedzi.

Pantominę urozmaicają kuplety polityczne, najczęściej, ni w pięć, ni w dziesięć, ale nieszkodliwe bynajmniej, poświęcone królowej, księciu Walji, Gladstonowi, Parnellowi i innym osobistościom chwili.

A merry Christmas and a happy new year.

Z moich wędrówek po świecie.

W Wiedniu.

Wspomniałem raz, że jeden z pierwszych śpiewałem operę „Tannhäuser" *Wagnera* w Wiedniu.

Rozmaite i słuszne powody zmuszają nas dziś unikać wszystkiego, co niemieckie, przejąwszy się raz już tą ideą, z pewnej zasady, jaką mamy do podobnego stosunku, atoli przyznać musimy, że nie dojrzeliśmy jeszcze do tego i, że najmniej dziesiątka lat potrzeba, nim pojmiemy ten wysoki dramat w muzyce.

Wierzajcie szanowni czytelnicy, że słuchać muzykę Wagnera i umieć ją zrozumieć w ogólnem pojęciu i detalach, mnie przynajmniej zdaje się trudniejszem, niżli ja wykonywać. Albowiem artysta ma i czas i możność przygotować się do śpiewania Wagnera, ma sposobność widzieć wzory i zdania innych artystów; słuchacz zaś odrazu winien umieć pojąć wartość kompozycji, harmonji i deklamacji, efektów masowych: w ogóle, objąć wszystkie odcienia autora-kompozytora takiego — jakim jest Wagner. Już to samo, że Wagner nie potrafiłby krępować swego talentu zakresem libretta, przez kogoś innego ułożonego, oznacza potęgę jego fantazji

Zdarzało się śpiewakom wyborowym jakimi np. byli Tichatschek, Niemann, Vogel, Reichmann, Betz i inni, że chociaż dzieło wagnerowskie wykonywali po kilkadziesiąt razy, podczas przedstawień, kiedy byli pod wpływem prawdziwego natchnienia, które nawiasem mówiąc, nie zawsze może być na zawołanie, sami wynajdywali prawie w każdym akcie nowe piękności, nowe odcienia, odmienną wartość jakiegoś punktu, lub akordu tak, że bez końca można uczyć się tej muzyki. Wagner to dopiero nam śpiewakom dał, że tak powiem, rozum i znaczenie, nie robiąc nas czystemi machinami, odtwarzającemi myśli kompozytora, ale dozwolił artyście rozumować, pojmować, nadał mu godność myślącego człowieka. W młodości już byłem przez ś. p. ojca mego do myślenia przyzwyczajony, a Wagner jedynie był powodem, żem wybrał zawód sceniczny.

Za młodu już uczył mnie muzyki i śpiewu ś. p. Jan Nowakowski, artysta teatru mego ojca. Nie marzyłem nigdy, że będę śpiewakiem, bo ojciec srodze zakazywał mi zajmować się sceną. To też dopiero w rok po jego śmierci, skończywszy żałobę pospieszyłem do Wiednia, do sławnego wówczas maëstra *Gentilhuomo*, a gdy ten wraz ze słynnym nauczycielem śpiewu *Salvi* orzekł, że mam dość dobry głos tenorowy, rozpocząłem naukę u Gentilhuomo.

Lecz, mój Boże! szczupłe fundusze (ojciec nie zostawił żadnego majątku) nie dozwoliły mi brać częściej lekcyj, jak raz na tydzień. Cóż to znaczyło dla mnie, który rozgorączkowany do sztuki, chętnie byłbym się uczył po 10 godzin dziennie, pomimo, że prócz przeszkód stawianych mi dawniej przez ojca, inną napotkałem zawadę.

Przedstawiając się, bowiem, ówczesnemu namiestnikowi hr. Gołuchowskiemu i prosząc go o przyjęcie mnie do grona artystów polskiej sceny we Lwowie, którą stworzył mój ojciec, otrzymałem odpowiedź niezbyt zachwycającą: „A wszakżebym obraził cień twego ojca, rzekł hrabia, gdybym na to pozwolił, byś ty, skończywszy szkoły tak świetnie, posiadając języki, miał być aktorem lichym, kiedy masz sposobność wejść na drogę służby publicznej. Kończ prawo, a ja cię wezmę zaraz do biura namiestnictwa".

Dobrze to mu było mówić: „kończ prawa", do tego trzeba było funduszów, a ja w takiem byłem położeniu, że zawsze musiałem mieć atrament, nie tylko dlatego, bym mógł pisać, ale również, ażeby okazujące się coraz częściej dziury w moich lakierkach nim zaczernić. Jakże tu było chodzić na prawa, zkąd wziąść na to nervum rerum gerendarum? A przy tem pomyślałem sobie: czyż na to Bóg dał talenta Kamińskim, by się wysługiwali po biurach i różnych kancelarjach.

Chodziłem więc co tygodnia do mego maëstra Gentilhuomo, który widząc we mnie jaki taki talent, a szczególnie dobrą wymowę włoską, zajął się mną sumiennie. Pozwalał bywać przy innych lekcjach, które dawał, wzywał mnie do każdego duetu, terceta, lub kwartetu z innymi uczniami, tak, że mogłem korzystać trójnasób i znaczne robiłem postępy. Nastręczałem mu, wprawdzie, przez wdzięczność lekcje w domach polskich, które na ów czas przebywały w Wiedniu, jak u księstwa Sapiehów z Galicji, u księżnej Jadwigi Sapieżyny (z ordynatów Zamojskich), u pani Comello (Turkułównej z domu) i nieboszczki najczcigodniejszej matrony ochmistrzyni dworu cesarskiego, pani Mniszchowej (Lubomirskiej z domu) i wielu innych.

Pomimo tego, po upływie 5. miesięcy, kiedy poczyniłem już znaczne postępy, musiałem zaprzestać się uczyć, bo i tej jednej lekcji w tygodniu nie było czem płacić! Trzeba było zawsze po lekcji położyć dukata na fortepianie, a nie umiałem jeszcze ówczas robić długów. O gdyby później! tobym sobie już poradził. — Tak to bywa we wszystkiem: gdyby młodość wiedziała, a starość gdyby mogła... Chodziłem wprawdzie do teatru na galerję Kärntnerthoru i słuchałem oper włoskich, zachwycałem się tam wraz z włochami tak jak oni, którzy po pięknym motywie, garściami wyrywali sobie włosy z głowy i tupiąc nogami wykrzykiwali „Corpo di Dio! che bella musica, che bella!"

Gdy więc tak przez kilka tygodni przestałem bywać u mego Gentilhuomo, razu jednego, kiedy zdesperowany przewracałem się na łóżku w mojem mieszkaniu, zapukał ktoś do drzwi. Był to sługa pana Gentilhuomo z bilecikiem, w którym zaprasza mnie do siebie. Usłuchałem i poszedłem natychmiast, a wstąpiwszy po drodze do kościoła, modliłem się gorąco, by mi Bóg dopomógł już cudem jakim zostać artystą. Poszedłem do pana G. i sądziłem, że usłyszę naganę z powodu długiej niebytności mojej, ale przeciwnie, maëstro był najserdeczniejszym i zaprosił mnie do swego gabinetu, gdzie już stół był zastawiony polentą, ryzottem i dobrem winem czerwonem „Inferno", które on zawsze pijał przy śniadaniu.

— Niech pan siada rzekł do mnie zamknąwszy drzwi. Od jakiegoś czasu nie widuję pana u mnie, co mi bardzo przykro,

Bez kobiet...



— E! bieda, to, jak żona — jak się do ciebie przyczepi, to już na całe życie — nie odlepisz ją od siebie... Lepiejby było — żeby biedy nie było i, żeby kobiet nie było, to byłby raj!..

— Ot, głupstwa gadasz, jakżeby mógł być raj bez kobiet?...

— Byłoby o połowę więcej do picia, jakby tyle gęb kobiecych ubyło...

bo mi się talent pański podobał. Rozmawiałem o tem z moją żoną, a ona, jak to kobiety, zawsze domyślniejsze, jak my, powiedziała, czy to nie brak funduszów powstrzymuje pana przychodzić na lekcje. Prawda, rzekłem, napiszę do niego, zwłaszcza, że mam pewien projekt, co do jego losu. Uczyniłem to pisząc do pana i otóż kochany panie, jeżeli to jest przyczyną pańskiego zaniedbania lekcji, to niepotrzebny kłopot, możesz pan dalej brać lekcje, choćby codziennie. Przyjdzie jeszcze czas, że mi zapłacisz, zwłaszcza, że mam zamiar zrobienia panu pewnej propozycji". Wypogodziło się moje czoło i uczułem, że Bóg przyjął modlitwę moją. Poczem maëstro zaprosił na śniadanie, które już było przygotowane. Po śniadaniu rzekł do mnie: „Propozycja, którą panu chciałem uczynić, jest następująca: był u mnie wczoraj dyrektor teatru „Josefstadt" Hoffmann i mówił mi, że chce założyć drugą operę we Wiedniu. — Chór i orkiestrę (do której wstąpił ś p. Karol Kozłowski po ukończeniu nauki w „Konserwatorjum wiedeńskiem", później profesor tutejszego „Konserwatorjum" i długoletni członek teatru hr. Skarbka), mam, ale potrzebuję śpiewaków solowych, młodych i początkujących, lecz z odpowiednim talentem. Wybór jego padł na szkołę moją i pytał, czy byłbym w stanie z teraźniejszych uczniów swych skompletować operę, lecz taką, którąby mogła po raz pierwszy w Wiedniu przedstawić operę Wagnera „Tannhäuser". Trudne to zadanie, jednakże ja się podjąłem i do tego pan byłbyś mi potrzebny".

— O! panie!" wyjąknąłem nie posiadając się z radości.

— Rolę więc Tannhäusera zamierzyłem wyłącznie powierzyć panu i jutro zaczniemy ją studjować. Dyrektor Hoffmann nie może w początku przedsiębiorstwa płacić gażę taką, jaką pobierają artyści opery dworskiej, ofiarowuje jednakże panu na rok pierwszy 5.000 złr." Na te słowa o mało się z krzesła na ziemię nie zsunąłem, zdawało mi się, że to sen, lub marzenie, a maëstro mówił dalej: Postanowiłem więc panu powierzyć tę rolę, tak trudną i mozolną, a przyjdzie ją śpiewać po dwadzieścia razy na miesiąc, by pokryć koszta przedsięwzięcia. Oprócz tego, trzeba się uczyć i innych oper, jako to: „Trubadura", „Raymond", Marko Spada" i operę księcia Koburga „Santa Chiara". Dla tego cały dzień będziesz pan zajęty, Musisz mi tylko dać słowo, że podejmiesz się tej pracy z ochotą i energją.

— O panie!" zawołałem: „przyrzekam".

— Dla tego też chciałbym pana mieć cały dzień pod ręką i jako młodego człowieka kontrolować cię, byś nie robił szkodliwych znajomości. Żona moja obmyślała dobry sposób, przeznaczyła na to dwa pokoje w moim domu, możesz się pan jutro sprowadzić.

Była to, wprawdzie, już za wielka kontrola, pachnąca zagrożeniem wolności, ale gdym spojrzał na młodziutką żonę maëstra (która była już czwartą), kobietę czarowną, serbkę z pochodzenia, z oczkami, jak tarki i włosami hebanowymi, do pięt sięgającymi, a tak małą nóżkę, jak u Pepity, spojrzałem lisim wzrokiem, jak kotek na myszkę i pomyślałem sobie: „nie tak to trudno będzie". Lecz nie tu pole na takie zwierzenia. Więc z brawurą przyszłego *tenora di forza* zawołałem: „O panie!"

Nazajutrz rozpoczęły się studja i próby z opery, a w cztery tygodnie ogromne afisze po rogach ulic donosiły o przedstawieniu opery Wagnerowskiej „Tanhäuser" po raz pierwszy. Obsada była następująca: *Landgraf*, pan Reichmann, *Tannhäuser*, pan Kamiński, *Wolfram* pan Egharda, *Walter* pan Gross, *Bitthrolf* pan Eibler, *Reimar* pan Hablawetz, *Elżbieta* panna Fridlowska, *Wenus* panna Lieven.

Działo się to za rogatkami Lerchenfeld w ogromnym teatrze, należącym do Josefstadtu, gdzie mieściło się 4.000 osób, i o 5. po południu przedstawienie zaczynało się, Próby robiliśmy rano i po obiedzie, tak, że ledwie dwie godzin było do odpoczynku. Sam śpiew z harfami, na których grali Zamara i Dubez (najsławniejsi wówczas harfiniści), powtarzaliśmy nieraz po 10 razy. Nawet w sam dzień przedstawienia, trwała próba jeneralna od dziewiątej godziny do trzeciej. To nas tak pomęczyło, że prawie już nie było sił do przedstawienia. Co zaszło w dalszym ciągu, opowiem. Sądzono, że siły młode bardziej można obciążać, lecz przeciwnie, artysta rutynowany prędzej potrafi sobie rozdzielić chwile odpoczynku, niż młody, który zapałem wiedzion, wydaje nieekonomicznie wszystko, co posiada.

To też nas tak pomęczyli, że przy obiedzie po próbie jeneralnej zaczęliśmy się naradzać, jakimby sposobem można odłożyć dzisiejsze przedstawienie i choć dzień jeden odpocząć. Układano różne projekta, aż Reichmann, basista, najdoświadczeńszy z nas i znany birbant, podał myśl, by mu dać 25 złr. honorarjum, a on natychmiast napisze do dyrektora, że zmęczony i śpiewać nie może. Złożyliśmy się wszyscy i daliśmy mu żądaną sumę. Reichmann zaraz napisał do dyrektora, odmawiając przedstawienie. Dyrektor był, jak piorunem rażony tą wieścią, biegał po scenie, szukając jakiego ratunku. Gdyby to była jaka inna opera, możnaby znaleść w Wiedniu śpiewaka w parę minut, ale do „Tannhäusera", to było trudno. Wszyscy tryumfowaliśmy i wszedłszy do garderoby, zaczęliśmy nibyto ubierać się, myśląc w duchu, że bez basisty opera daną być nie może. Aż tu wbiega dyrektor i głosem tryjumfalnym

woła: „Zamiast pana Reichmanna śpiewać będzie partję basową p. Schott z Hanoweru jako gość“. Na nic więc nasze intrygi, przedstawienie będzie. Jakim sposobem przyszło do tego, opowiem.

W dobrą godzinę przed zaczęciem przybył do teatru bawiący chwilowo w Wiedniu pan Schott z Hanoweru. Dyrektor spostrzega go, rzuca mu się na szyję i proponuje mu zastępstwo. Ten przyjmuje i zamiast do krzeseł, wchodzi do garderoby i poczyna się ubierać. Takim to sposobem nie udała się nasza intryga i musieliśmy śpiewać.

Rad nie rad, kończę się ubierać i dalej zaczynać. Z początku szło jeszcze jako tako, ale jak przyszło septet finału pierwszego aż trzy razy powtarzać, a rozentuzjazmowani przyjaciele Wagnera natarczywie powtórzenia domagali się, więc z końcem aktu pierwszego upadłem w garderobie na duży fotel, ani ręką, ani nogą ruszyć nie mogąc. Głosu mi brakło do tych wielkich recitatywów, a w scenie pielgrzymki ledwie mi płuca nie pękły i wygłos był więcej do wycia podobny, niż do śpiewu. Gazety na drugi dzień poczęły mnie przedrwiwać i nuże walić humorystyczne anegdoty o polaku śpiewającym Tannhäusera i, że się ta opera nazywać powinna *„dann heiser“* a nie *„Tannhäuser“*. Przez niedyspozycję i rozgłos, straciłem swobodną pewność siebie.

Owoc ciężkiej pracy, żmudnych i najsumienniejszych studjów, tak świetnym się wydający w moich marzeniach, rozwiał się, jak mgła, a potem wypocząwszy, ciężko pracować musiałem, by się w opinji publicznej zrestaurować i przekonać, że niezły głos mam. Już przy 12-tem przedstawieniu rzucono mi wieniec, znak, że stopniały lody przesądów przeciw mnie i od tego czasu polubiła mnie publiczność, a ja starałem się wzmacniać to zaufanie. Gdy potem druga serja oper nadeszła, jak „Trubadur“, „Raymond“, „Marko Spada“ i t. d., miałem już wielbicieli i już występowałem bez trwogi

Kończąc gawędę dzisiejszą, dodać muszę słów parę, co do prowadzenia opery Wagnera. Wiedeń muzykalny dzielił się wówczas na trzy partje. Pierwsza, tak zw. Zopf, (warkocz) była to staroklassyczna, trzymająca się ściśle prawidłowej kompozycji i kontrapunktu, druga to była Mayerbeerowska, szalejąca za Robertem, Hugenotami, Prorokiem, (bo Afrykanki jeszcze nie było, a Dinora i Vielka słabe miały powodzenie), trzecia zaś partja jeszcze była małą, ale tem energiczniejszą. Ponieważ ciężko przebijać się musiała przez upornych wiedeńczyków tych obu partyj, pędzili swoje bałwochwalstwo dla Wagnera aż do śmieszności Jego popiersia noszono na szyi i w krawatach, zaczęto się ubierać w baret i togę, jak to czynił Wagner i nieraz nocą na bulwarach oberwał nie jeden z tych patronów po za ucho, lub w samą buzię. W kawiarniach się z nich naśmiewano i parodję po parodji grywano w teatrach przedmiejskich. Nawet przedemną pospólstwo żegnało się, jak przed zapowietrzonym. Karykatury moje w roli tej wychodziły w wiedeńskich gazetach humorystycznych i to wszystko o trochę muzyki. Powiedzcież państwo, czyż to się godziło i cóż pomogło? Wagner przebił sobie pole powoli i ciężko, a teraz dzieła jego juz nie nazywają kpiąco Zukunfts-Musik. a nietylko repertuar niemieckich kilkuset scen, pochwycił utwory jego, ale Anglja i Włochy, ci najzaciętsi antagoniści muzyki niemieckiej, już od lat kilkunastu zapalają się do muzyki Wagnera, a ja w Bolonji już roku 1874 sam słyszałem Lohengrina już wielokrotnie dawanego. Tak to rzecz wartości doczeka się swojej zasługi. Przypominają mi się słowa ś. p. saskiego króla, który po wydaleniu Wagnera z kraju w roku 1848., za jego szały młodzieńcze zjednoczenia Niemiec, pomimo tego pozwolił przedstawić dzieła jego w operze dworskiej, mówiąc: „Aktor, lub kompozytor nie mają nic wspólnego z charakterem człowieka“! Wszystkie jego pierwsze dzieła w Dreźnie wystawione były.

Mieczysław Kamiński.

W restauracji.



— Dajżesz mi to wino stare, o które prosiłem już od pół godziny.

— Co to szkodzi wielmożnemu panu, jak go przyniosę później, będzie jeszcze starsze...

Z życia małego urzędnika.

„Cóż kolego?.. Jakże zdrowie?“
„Et dziękuję jegomości“..
„No i cóż kolega powie?“
Miałem wczoraj trochę gości,
Grubo, panie, grali w karty,
W nocy do godziny czwartej.“
„Ale, cóżto, a wszakżeci
Są tam chore u was dzieci?!
„Et.. koklusz, mały frasunek,
Ale gorsza u mnie bieda,
Jedzenie wczoraj, trunek,
Wziąłem na kredyt u żyda —
Na obiad, ni centa w domu,
Żyd nie da mimo procentów;
Niech pan nie mówi nikomu:
Pożycz mi... pięćdziesiąt centów.

A. Bar.

Wychowaniec.

Powieść z angielskiego

przez

Waltera Besant.

(Ciąg dalszy — patrz nr. 2.)

Nakoniec, ostatnie promienie słońca zagasły na horyzoncie i młodzieniec odwrócił wzrok nasycony pięknością natury ku szerokim alejom wybrzeża, na którem się znajdował. Bank-Side nigdy nie było miejscem modnem i uczęszczanem przez zamożniejsze klasy, lecz miało także swoją ciekawą tradycję i przeszłość. Niegdyś zamieszkali je głównie aktorzy, śpiewacy i wszelkiego rodzaju artyści, napełniając życiem i gwarem opuszczone dzisiaj ulice. — Lecz z czasem, kiedy teatra przeniesiono bardziej w głąb miasta, pospieszyła za nimi i hałaśliwa rzesza pracowników, a na cichem i opustoszałem wybrzeżu szukali dzisiaj jedynie schronienia ludzie, niemający wspólności żadnej ze światem czynu i sławy. Wzgardzeni poeci, nie mogący wywalczyć sobie uznania, malarze, uczeni, maniacy i mizantropi tutaj pewni być mogli niazakłóconego spokoju i oderwania od świata. Przeszłość, stosunki, pragnienia, cały prąd, wreszcie, postępu i cywilizacji przenikał tu zaledwie w tym stopniu, jak do wnętrza afrykańskiej pustyni.

I teraz w miarę zapadającej ciemności, milkły odgłosy życia i pracy, nawoływania spieszących się marynarzy, skrzypienie lin i łańcuchów, uderzenia młota i brzęk szkła tłukącego się bezustannie w miejscu wyładowania nafty ze statków, przywożących ją tutaj do olbrzymich, ponurych, czarnych magazynów. Natomiast, razem ze zmrokiem mieszkańcy tego cichego zakątka spieszyli chętnie na chłodne i ocienione wybrzeże, by odetchnąć świeżem, wilgotnem powietrzem i spojrzeć na rozległy świat boży, osłaniający się ciemną szatą tajemnicy.

W istocie, coraz częściej można było spotkać jednę, lub parę schylonych, bladych postaci, zbliżających się zwolna ku rzece. Laurenty obserwował je bardzo uważnie. Zdawało się, iż zupełnie zapomniał już o urokach pięknego krajobrazu, a ludzie stali się teraz dlań najciekawszem, najbardziej interesującem zjawiskiem.

Jedna para szczególniej zwróciła jego uwagę: było to dwóch staruszków, przechadzających się razem. Minęli go raz, drugi i trzeci, lecz nie mógł dostrzedz, aby rozmawiali z sobą. Widocznie byli to starzy towarzysze, gdyż tylko ludzie znający się dobrze nie używają rozmowy do wymiany myśli, słowo rzucone od czasu do czasu, gest, spojrzenie, wystarcza im, aby się porozumieć dokładnie.

Jeden z nich był to człowiek wysoki, szczupły i pochylony. Szedł wolno, nie podnosząc głowy, a gdy ją podniósł, zatrzymywał się i stał długo, patrząc przed siebie. Długie białe włosy spadały mu na ramiona, długa, biała, miękko wijąca się broda osłaniała piersi; na białej, jakby marmurowej twarzy, nie było prawie zmarszczek, a oczy blado-niebieskie patrzyły na świat ze smutną jakąś marzącą zadumą. Ubranie jego świadczyło o wielkiem ubóstwie, lecz było czyste i bardzo starannie utrzymane,

a białe włosy i broda na czarnej aksamitnej kurtce odbijały dziwnym kontrastem.

— Artysta — szepnął młody człowiek, uważnie patrząc na posągową twarz starca. — A może fotograf tylko.

Towarzyszem jego był staruszek czerstwy i żwawy, w poplamionym trochę surducie i kapeluszu, zsuniętym nieco z czoła na tył głowy. Idąc, wywijał laską w takt własnych myśli, głowę trzymał podniesioną wysoko, a gęste szpakowate włosy, ostrzyżone krótko, czyniły go młodszym o wiele i energicznym, prostym rysom jego twarzy nadając wyraz twardego oporu.

— Obrońca, albo adwokat — mruknął, patrząc na niego Laurenty. — Nie pojmuję wprawdzie, coby mógł robić tutaj, w Bank-Side, ale być może, iż obadwaj od dawna przestali szukać szczęścia na arenie życiowych zapasów. Emeryci losu, — dokończył ze smutnym uśmiechem.

Kiedy mijali ławkę po raz czwarty — młodzieniec usłyszał, wreszcie, urywak prowadzonej rozmowy:

— Powiadam ci — dziś mógłby zostać członkiem akademji. W tym wieku! Nie pojmuję, co mu się stało. I to niedawno jeszcze...

Więcej dosłyszeć nie mógł.

Na przeciwległej stronie ulicy skrzypnęły drzwi domu i mężczyzna wysokiego wzrostu ukazał sie na progu. Była to także postać oryginalna, o głowie wielkiej nieproporcjonalnie, okrytej krótkimi siwymi włosami. Twarz ciemna wyglądała przytem prawie młodo, a prosta postawa, nos duży, wyraziste rysy i bystre trochę surowe spojrzenie, tworzyły całość, pełną niezwykłej powagi i godności własnej. Ubrany był starannie, a jedwabny parasol i czarne rękawiczki, jakie nosił, były tutaj cechą najwyższej arystokracji i zamożności zarazem.

— Pan Lucjus — szepnął z westchnieniem Laurenty. — Mieszkam w jego domu; czy wiesz o tem, matko moja droga?

To mówiąc, spojrzał z tęsknotą ku wschodowi, jak gdyby chciał wzrokiem przesłać tę wiadomość daleko.

Pan Lucjus Cottle zeszedł tymczasem poważnie ze wschodków na bruk uliczny i spojrzeniem pełnem zadowolenia objął posiadłość, najpiękniejszy, największy i najporządniejszy domek na całej Bank-Side, okryty bluszczem, z białemi firankami w czysto umytych oknach i szeroką mosiężną tabliczką na drzwiach, na której wielkimi literami wyryte było: Mr. Cottle.

Mr. Cottle nie znaczy to samo, co proste Cottle, albo nawet Mr. Lucjusz Cottle W tem skromnem Mr. Cottle zawiera się pewna wielkość, jak gdyby świat cały znał wymienioną w ten sposób osobę i z należnym szacunkiem wymawiał jej nazwisko.

Nakoniec, pan Cottle odwrócił się powolnym, dystyngowanym ruchem i ujrzawszy siedzącego na ławce młodzieńca z godnością podał mu rękę.

— Dobry wieczór, panie Waller — rzekł poważnie, jak człowiek szanujący każde swoje zdanie. — Szczęśliwie pan trafiłeś, że zamieszkałeś odrazu na Bank-Side. Tu oddychamy przynajmniej. Co to za świeżość, co za aromat w powietrzu — mówił, wyciągając dłoń w kierunku rzeki, — wiatr niesie je prosto z morza Północnego, nieprzesycone dymem fabrycznym, czyste i zdrowe, jak ocean. Gdyby mieszkańcy Eaton i Berkeley Square znali to cudowne miejsce, nie wątpię, że zapragnęliby zaraz zamieszkać w naszem sąsiedztwie.

Laurenty powstrzymał lekki uśmiech niedowierzania, gdyż powaga, z jaką pan Cottle wygłosił swoje przekonanie, świadczyła, iż płynęło ono z głębi duszy.

— List polecający znanej mi firmy, panie Waller, na mocy którego nie wahałem się zaliczyć pana w poczet moich lokatorów, uwiadomił mię, że do Anglji sprowadziły pana interesa, zdaje się prawne jakieś formalności?

— Tak, panie Cottle.

— Czy jesteś pan prawnikiem? Przepraszam za moją ciekawość.

— Nie. Wcale nawet nie studjowałem prawa i nie znam się na niem zupełnie.

— Tak? Trudno, nie wszyscy mogą ocenić znaczenie tej szlachetnej gałęzi wiedzy. Mam, jednak, nadzieję, że interesa pańskie pomimo to załatwione zostaną pomyślnie.

Zatarł ręce z właściwym sobie gestem, a potem mówił dalej:

— Nasza dzielnica musi interesować pana bardzo żywo; jestto — mogę śmiało powiedzieć najciekawsze i najgodniejsze uwagi studjum dla cudzoziemca, umiejącego oceniać wartość rzeczy Mogę sądzić o tem gruntownie, gdyż stanowimy tutaj najstarożytniejszą rodzinę w całem Bank-Side.

— Co do mnie, zaliczam się do jednej z najmłodszych w Nowej Walii, — wtrącił Laurenty z uśmiechem.

Ale pan Cottle nie zdawał się słyszeć tej uwagi.

— Dziadek mój osiedlił się tutaj w połowie przeszłego wieku — ciągnął po chwili milczenia. — Zbudował dom ten i założył w nim pierwszą szkołę. Po jego śmierci ojciec prowadził ją dalej z wielkiem powodzeniem, zyskując zasłużone uznanie. Jestto jedyny autor prócz Szekspira, którego imię unieśmiertelnia Bank-Side. — Czytałeś pan zapewne jego »Praktyczne zasady krasomowstwa?«

Młody człowiek, zmieszany, mruknął coś niewyraźnie. Czuł on dobrze, iż na wielu punktach edukacja jego pozostawiała dużo do życzenia. A przecież z odznaczeniem skończył uniwersytet w Sydney. Wielu młodych ludzi po powrocie ze szkół doświadcza tego uczucia. I teraz też myślał z niezadowoleniem, dlaczego mu nikt dotąd nie powiedział o znaczeniu »praktycznych zasad krasomowstwa.«

— Dzieło to — ciągnął dalej pan Cottle z niezwykłą powagą, — napisanem zostało pod dachem, pod którym, nie wiedząc o tem, spałeś noc pierwszą na angielskiej ziemi, młodzieńcze. Jesteś anglikiem, ale pochodzisz z Australji, to po części tłomaczy twoją nieświadomość. Możesz ją, zresztą, naprawić obecnie i podczas pobytu u nas obeznać się z tą pracą pomnikową. Ja ze swej strony gotów jestem chętnie udzielić panu wszelkich możliwych objaśnień.

Laurenty ukłonił się grzecznie na znak podziękowania.

— Towarzystwo na Bank-Side jest bardzo ograniczone liczebnie, lecz więcej wyborowe, niżby się napozór zdawało — zaczął znowu pan Cottle, prostując się z powagą i spoglądając dokoła. — Świat sądzi wprawdzie, że nie istnieje tu wcale żadne towarzystwo, lecz zaraz pana przekonam, jak dalece mylicie się pod tym względem.

— Zapewniam pana, że co do mnie, nie miałem żadnej opinji w tej kwestji.

— Domy i ulice nie stanowią jeszcze towarzystwa, — zdaniem mojego ojca. Praca wytwarza bogactwo i dlatego powinna być szanowaną (po raz drugi cytuję Wincentego Cottles), lecz oprócz pracy i jej najniższych reprezentantów, znajdujemy tutaj przedstawicieli nauki, artyzmu, najszlachetniejszych idei. Towarzystwo Bank-Side ma zwyczaj spotykać się tu na wybrzeżu dla wzajemnej wymiany myśli, jak kupcy spotykają się codzień na giełdzie dla wymiany papierów i monet. Zamiarem i dążeniem Wincentego Cottles było rozpowszechnienie tego pożytecznego zwyczaju. wytworzenie — że się tak wyrażę — giełdy umysłowej w szerokich rozmiarach.

— Doprawdy? — zapytał Laurenty.

— Tak jest, znalazł nawet zwolenników swojej idei w najbliższem otoczeniu. Oto naprzykład pan Indagine...

— Kto? który?

— Klemens Indagine, poeta — objaśnił Lucjusz Cottle, wskazując na człowieka w aksamitnej kurtce.

— Ten? Poeta? Klemens Indagine? Tego nie spodziewałem się tak prędko. Klemens! Ale miał brata?

— Pan wiesz o tem? Eneasz. Byliśmy razem w szkołach, potem wyemigrował i nie słyszano o nim od lat wielu. Towarzyszem pana Indagine jest dr. Luttrel, znakomitość w swoim rodzaju, człowiek niepospolitej nauki, można powiedzieć, rzadkich, wyjątkowych zdolności. Ja jestem z powołania prawnikiem. Masz pan więc w trzech osobach: prawo, przyrodę i poezję. To się nazywa towarzystwo; czego więcej wymagać pan możesz?

Laurenty zaśmiał się dobrodusznie. Był to śmiech, który nie ranił nikogo, wesoły, szczery uśmiech młodości, lubiącej patrzeć na rzeczy jasno i pogodnie.

— Wiedziałem, że Bank-Side jest miejscem uczciwej pracy — rzekł spokojnie, — widzę to zresztą na pierwszy rzut oka, lecz że ma ono własną swą inteligencję, tego, przyznam się, dotąd nie przypuszczałem zupełnie.

— Powiem ci więcej jeszcze, panie Waller, że obok talentu i nauki znajdziesz tu najpiękniejsze obywatelskie cnoty. Najwyższą cnotą człowieka jest patrjotyzm, powiedział mój ojciec, — oto masz pan patrjotę, jakim poszczycić się może każdy kraj — dodał, wskazując zbliżającego się do nich mężczyznę.

Znakomity potrjota, pochodzenia węgier, niski, uśmiechnięty staruszek w wytartem ubraniu i dziurawych butach, mógł być łatwo wziętym za żebraka, lub rzezimieszka w odludnej ulicy, przy dość żywej imaginacji i niezbyt uważnem usposobieniu przechodnia. Na twarzy jego, zupełnie pozbawionej zarostu, malowała się łagodna uprzejmość, a małe załzawione oczka miały wyraz przenikliwy i badawczy.

— Pan Laurenty Waller z Australji, kawaler Arminiusz de Hayn — rekomendował pan Cottles. — Kawalerze, daj bilet swój panu Waller.

Wezwany szybkim ruchem odchylił połowę płaszcza i z bocznej kieszeni wyjął skórzany stary pugilares.

— Oto mój bilet — rzekł, wręczając złożoną kartkę papieru Laurentemu. — Zechciej go pan przeczytać. Mam nadzieję, że jeszcze się tu spotkamy; jest to jedyne miejsce, gdzie widuję moich przyjaciół. Do widzenia zatem, sir, do zobaczenia.

Kłaniał się i uśmiechał, odchodząc drobnemi kroczkami i mimo całego komizmu tej postaci Waller przyznać musiał w głębi

duszy, że sprawiała ona przyjemne i sympatyczne wrażenie. Nakoniec rozłożył papier i odczytał napis, zajmujący prawie stronnicę:

»Kawaler Arminiusz G. de Hayn. Rycerz orderu Zbawiciela i Św. Marcina. Członek honorowy Stowarzyszenia filotechnicznego opieki nad siostrami i ubóstwem. Autor »Szlachetnego planu,« napisanego na żądanie lorda Salisbury. Wygnaniec, wydalony z ojczyzny przez rząd austryjacki. Korespondent Stowarzyszenia naukowego w Honduras, Equador i Argentynie. Tymczasowo dependent w biurze Józefa Mayes, Sothwark, 183, Brigde Road«.

Laurenty obejrzał papier uważnie i włożył go do kieszeni.

— Czy więcej jeszcze wielkich ludzi zamieszkuje Bank Side? zapytał. — Pójdźmy ich poznać, zanim ztąd odejdą.

— I nam czas wracać do domu; poznasz pan jeszcze dzisiaj moje dzieci, wnuki Wincentego Cottles. Sądzę, że sława jego po części spływa i na nie. Żyjemy przeszłością, powiedział mój ojciec, w teraźniejszości, ale dla przyszłości. Czy to nie piękna prawda? A oto nasze dziewczęta.

III.

Po zachodzie słońca.

Słońce już od niejakiego czasu skryło się pod horyzontem, ale na niebie pozostał odblask czerwony i złoty, odbijający się w falach Tamizy. W tem oświetleniu rzeka wyglądała istotnie wspaniale, a mała łódka, płynąca po niej spokojnie, zdawała się być fantastycznem jakiemś zjawiskiem, gotowem się rozwiać co chwila w płomiennych blaskach zachodu.

Łódka zbliżała się szybko i wkrótce rozróżnić można było znajdujące się w niej osoby, a raczej dwie nimfy, kierujące statkiem, posłusznym lekkiej dłoni. Jedna siedziała u steru, druga trzymała wiosło. Ta ostatnia zwłaszcza zdawała się być w ognistej koronie. Niepodobno było zdalaka rozpoznać rysów jej twarzy, lecz złota aureola otaczająca jej głowę i jasna szata układająca się wdzięcznie w proste i szlachetne draperje, czyniły ją podobną do wodnej bogini.

Czółno zwróciło się prosto ku Kamiennym Wschodom, a Laurenty, nie spuszczając zeń wzroku, z dziwnem, nieznanem mu dotąd wzruszeniem śledził ruch każdy uroczej wioślarki, zapomniawszy zupełnie o wymownym swoim towarzyszu.

Szybkie kroki dały się słyszeć za nimi. Czy znowu wielki człowiek z Bank-Side?

— Jak się masz, Oliver? — zapytał zdziwiony pan Cottle. — Co tutaj dziś porabiasz? Niespodziewaliśmy się ciebie. Ojciec już poszedł do domu. a Kasia i Altea powracają właśnie.

Wskazał na łódkę i dziewczęta, a potem znowu zwrócił się do młodzieńca.

— Panie Waller, pozwól sobie przedstawić przyjaciela naszego, Olivera Luttrel, przyszłą chlubę kraju i znakomitego dziś już przyrodnika. Pan Laurenty Waller z Australji, chwilowy gość Bank-Side.

Młodzi ludzie skłonili się sobie z daleka. Laurenty szybkiem, niecierpliwem spojrzeniem zmierzył przybyłego, a ten ostatni przypatrywał mu się z nieufnem i nietajonem zdziwieniem. Zresztą, jak na wielkiego człowieka z Bank-Side, Oliver wyglądał bardzo przyzwoicie. Krój jego sukien nie przypominał bynajmniej pierwszej połowy dziewiętnastego wieku, a nawet odznaczał się pewną wykwintną elegancją, a zręczna postawa i rysy twarzy choć nieregularne, lecz zwracające uwagę, zapewniały mu w tem otoczeniu opinię niepospolicie dystyngowanego i bardzo przystojnego mężczyzny. Oczy zwłaszcza, czarne, błyszczące i żywe, nadawały mu cechę bystrej inteligencji, a nos duży, lecz kształtny i szerokie usta przy ciemnej cerze i lśniąco kruczych włosach, zdobiły twarz tę charakterystyczną wyrazem męzkiej energji i siły.

Oliver uchylił grzecznie kapelusza, lecz w jego wzroku badawczym i śmiałym można było wyczytać cały szereg pytań ciekawych.

— Czego u licha szukać możesz na Bank-Side? — mówiły te oczy. — Co cię tu sprowadziło? Jakim sposobem zostałeś tak prędko przyjacielem Lucjusza Cottle? Czego chcesz tutaj? Co kryjesz?

Lecz łódka właśnie przybiła do brzegu u stóp Kamiennych Wschodów i Oliver zaniechał niemego badania, aby zbiedz szybko na pomoc wysiadającym dziewczętom. Wkrótce na dole rozległ się śmiech wesoły i ożywiona rozmowa. Oliver przywiązał łódkę do łańcucha, zabrał ster, wiosła, poduszki i małe tylko węzełki pozostawiwszy dziewczętom, wesoło i swobodnie wstępował wraz z niemi na górę.

Jego nieufność, gniew, zazdrość stały się teraz dla Laurentego zupełnie jasne i usprawiedliwione; on sam nawet, choć nie miał do tego praw żadnych, zaczął doznawać tych wszystkich uczuć potrosze, patrząc na poufały i serdeczny stosunek młodego człowieka z czarodziejkami, których mógł ocenić zbliska.

Szczęśliwa trójka minęła ich spokojnie i weszła do domu pana Lucjusza Cottle. Laurenty patrzył na drzwi, po za któremi zniknęli.

Tymczasem na zachodzie dogasała łuna purpurowa — ciemniały fale rzeki, wieżyce, domy i drzewa traciły złudne barwy, gwiaździsty płaszcz nocy letniej rozpostarł się od wschodu i znowu ciemność osłoniła ziemię, kryjąc jej nędzę, śmieszności i plamy.

— Powiadam ci, Klemensie, że coś się stało chłopcu — dał się słyszeć raz jeszcze głos przechodzącego doktora.

— Panie Waller, pozwól, że cię dziś przedtawię mojej rodzinie — odezwał się pan Cottle, gestem wskazując młodzieńcowi drogę do domu. — Nie mamy zwyczaju żyć pod jednym dachem z ludźmi nieznanymi. Zwyczaje nasze są proste, lecz nie wyłączają delikatności uczuć i potrafią się zastosować do słusznych wymagań gościa.

Z godnością podniósł głowę i kroczył poważnie za idącym naprzód po wschodach Laurentym. (Ciąg dalszy nastąpi).

Teatr.

Dwóch autorów francuskich, jeden Blum, z pochodzenia niemiec, drugi Toché — obydwa prawie nie znani, wzięli gromadę ludzi, rzucili to wszystko na scenę, ażeby gadało i trochę rozprawiało — no i to ma być *Paryż pod koniec stulecia.* Szkoda, że autorowie siebie samych w tem *Paryżu* nie umieścili, bo to, doprawdy autorowie par excellence de fin de sicle... Trzeba ogromnej dozy arogancji, ażeby mizerną 5-aktową sztukę ochrzcić takim tytułem, od którego treści istotnej, gdyby była taka, jak być powinna, popękaliby podobnego rodzajn autorowie, jak p. Blum z panem Toché, którzy, niby chcieli odfotografować galerję charakterystycznych typów z końca tego wieku, a właściwie powystrzygali nożyczkami figury z modnych „żurnalów“ znajdujących się za oknem u krawców i moduiarek...

Niemal cały personal dramatyczny lwowski kręcił się po scenie tego *Paryża przy końcu stulecia* — ponieważ, jednak, mnsiało się wszystko skończyć na kręcenin, bo nic innego nie było do roboty, więc możemy tylko powiedzieć, że wszyscy kręcili się dobrze, a scena zmieniana w każdym akcie, dekorowana była wytwornie.

Trzeci występ pani Klamrzyńskiej w tytułowej partji *Trawiaty* miał ogromne powodzenie... Publiczność z niecierpliwością czeka na dalsze występy znakomitej koloraturowej śpiewaczki — ale zima u nas, a jak w tym roku wszędzie, jest nieprzyjaciółką śpiewaków — chrypki, niedyspozycje na porządku dziennym...

Telegram jedno-aktowy obrazek z czeskiego tłomaczony, którego autorem jest pan Morawski — jest wesołą i dosyć skomplikowaną farsą — grali go n nas żywo i z humorem panie: Czaplińska i Stachowicz, oraz panowie: Zawadzki, Feldman, Trapszo i Szobert.

W znanej jedno-aktowej komedyjce Mozera: *Na wędkę* debiutowała p. Spolska w roli zalotnej wdówki. O tym debincie tyle tylko dziś możemy powiedzieć, że p. S. przedewszystkiem musi się pozbyć lwowskiego sposobn mówienia, który jest na scenie w rolach salonowych nie możliwy. — Inni artyści role swoje, grali wybornie.

Debiut p. Jamińskiego w *Baronie cygańskim* w tytułowej roli, pod względem wokalnym można uważać za pomyślny, pod względem gry i mówienia, za bardzo niedostateczny. Dla operetki o tenora, który musi być aktorem i śpiewający mówić — bardzo trudno...

Praktyczne i pouczające wiadomości.

By zapobiedz zamarznięciu szyb w oknach wystawowych, zwracają pisma fachowe uwagę na środek, który ma być bardzo skuteczny. 55 gramów gliceryny rozpuszcza się w litrze 63 procentowego spirytusu, do którego, by mu odjąć przykry zapach, dodać można nieco olejku bursztynowego. Skoro tylko mieszanina stała się klarowną, jak woda, wyciera się szmatką płócienną, lub też skórką napojoną wewnętrzną powierzchnią szyby, która potem, ani się poci, ani też nie zamarza.

Zmarzniętego pozornie na śmierć, w którym, jednak, jeszcze iskierka życia tleje, nie trzeba wnosić zaraz do jakiego ogrzanego miejsca, lecz należy go mocno trzeć śniegiem, lub wodą po twarzy, piersiach, rękach i nogach. Po 10 minutach takiego tarcia wnosi się zmarzniętego pod dach, lecz w zimne miejsce, i tu trze się go jeszcze zimną wodą, a potem zawija w mokre zimne prześcieradło, aby tarcie dalej prowadzić. Dopiero wtedy przenosi się go do ciepłej izby, gdzie go można nacierać spirytusem, a następnie zawinąć w ciepłą wełnianą derę. Jeżeli ratowany odzyskał oddech i puls, to mu trzeba wlać w usta nieco wina, wódki, lub mocnej kawy. Wtedy dopiero, chorego należy położyć do łóżka i ciepło go przykryć, aby całkiem przyszedł do siebie.

Leczenie odziębień. Tę przykrą, a tak częstą w chłodnej porze dolegliwość można łatwo wyleczyć w sposób następujący: nogi, lub ręce odziębione trzeba zanurzyć w wodzie bardzo gorącej i trzymać je w niej przez kilkanaście minut, potem odrazu zanurzyć je na chwilę w wodę, jak najzimniejszą, najlepiej w śnieg rozpuszczony. Po dobrem wytarciu miejsc odziębionych trzeba je posypać pudrem, lub mąką i owinąć w płótno. Po kilkakrotnem zastosowania tego środka odziębilizny giną.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Pan Bar. w Stryju Damy później odpowiedź listownie.

Ciekawemu we Lwowie. Nie wiemy.

Pan R. w Krakowie. Zamiejscowych recenzyj teatralnych nie umieszczamy.

Pan L. w Chicago Owszem, zaraz wyślemy.

Pan Z. G. w Paryżu Jest między innemi, także w Café de la Regence.

Nadesłane.

W Krakowie przy ulicy Dajwor l. 14. założyli pp. Bracia Roman i Leonard Muranyi, na wielką skalę fabrykę wyrobów stolarskich, o której p Nawratil inspektor przemysłowy pochlebnie się wyraża, iż cały zakład bardzo bezpiecznie jest urządzony. Wszelkie transmisje, koła rozpędowe, pasy itp. znajdują się w podziemiach, a tylko same maszyny najuowszych systemów, amerykańskiego i niemieckiego, funkcjonują w olbrzymich salach warstatowych, widnych i zasłoniętych siatkami żelaznemi. W fabryce tej pracuje obecnie 100 robotników, lech składy i lokale są tak obszerne, iż w każdej chwili dla 250. robotników zakład rozszerzonym być może. Fabryka posiada wielkie składy suchego drzewa i suszarnie parowe z wentylatorami, oraz maszyny do wyrobu posadzek dębowych i dwie heblarnie. Pan Leonard Muranyi pracując przez lat 15 w fabryce wagonów w Warszawie, nabył fachowego uzdolnienia w tym zawodzie i nie odrzeczy będzie, jeżeliby **Dyrekcje: kolejowe, pocztowe i tramwajowe,** zwróciły baczną uwagę i poparły zakład krajowy, który wszelkim wymogom jest w stanie pod gwarancją zadość uczynić. 5268-6-1.

W Krakowie na Kleparzu Nr. 2 od roku 1875 istnieje **fabryka wina szampańskiego,** które jest wyrabiane na sposób francuski. — Fabrykę tę prowadzi p. **W. Komorowski** i postawił ją na pierwszorzędnem stanowisku. Wino szampańskie z tej fabryki, odznacza się doskonałym smakiem, a pod względem dobroci i siły nie ustępuje najlepszym tego rodzaju zagranicznym wyrobom. Ma ono jeszcze tę zaletę, że nie zawiera w sobie pierwiastków szkodliwych zdrowin, co się często zdarza w innych tego rodzaju wyrobach — ceny są nader niskie. — Wino szampańskie z fabryki p. **W. Komorowskiego** można z całym spokojem polecić. 5270—2—1.

Z Przemyśla.

Restauracja p. Dinstla, znajdująca się w lokalach hotelu przemyskiego z całym komfortem urządzonych, od razu wstępnym bojem, zdobyła sobie tak dalece uznanie u gości, że kilkaset osób codziennie spożywa w niej objad, nie mówiąc już o kolacji i śniadaniach. Rzeczywiście, p. Dinstl robi wszystko, co rzetelny przemysłowiec robić powinien, a więc uczciwa praca zasłużyć sobie musi na publiczne uznanie i nie ulega też wątpliwości, że zakład pana Dinstla jeszcze szerszem uznaniem cieszyć się będzie. 5269—2—1.

P. P. Eissler budowniczy i techniczny jego kierownik Kocwerlik, inżynier, zamieszkali obecnie **w Przemyślu,** wybudowali w Jarosławiu okazały gmach dla kasyna oficerskiego. Budynek ten pod względem architektonicznym, jest ozdobą miasta, a mógłby być taką samą ozdobą w największych miastach — przytem odznacza się sumiennem wykończeniem, doskonałym rozkładem i wszelkiemi zaletami hygienicznemi. P. P. Eissler i Kocwerlik wszystkie roboty budownicze wykonywają z największą sumiennością i biegłością swego fachu, a wszelkie zobowiązania, wypełniają z wzorową ścisłością i nikogo nie zaniedbuję, aby powierzający im robotę planów i budowę, byli ze wszystkiego zadowoleni. 5271—8—1.

Restauracja M. Denkiewicza w kasynie wojskowem w Przemyślu urządzona także dla osób cywilnych z osobnym wchodem od ulicy Grodzkiej, połączona jest z eleganckim pokojem do śniadań oraz wyszynkiem wszelkich trunków, różnorodnych win, piwa pilzneńskie i okocimskie, zawsze świeże na szklanki i flaszki, oraz wyborną kawę i herbatę. Zatem restauracja p. M. Denkiewicza urządzona jest prawdziwie po europejsku z nadzwyczajnym komfortem, szybką i uprzejmą służbą, zaś kuchnia pod dozorem gospodarza dostarcza wybór wyśmienitych zdrowych i pożywnych potraw, najsmaczniej przyrządzanych. Każdemu, przejeżdżającemu, a zatrzymującemu się w Przemyślu — polecamy ten zakład gastronomiczny z całą sumiennością, gdzie się dobrze, a nie drogo pożywić można. 5277—2—1.

Z różnych stron dochodzą nas wyrazy prawdziwego i szczerego uznania dla **„Concordji“,** przedsiębiorstwa pogrzebowego we Lwowie F. Opuchlaka i Syna. Ci, którzy mieli sposobność dawać zlecenia powyższej firmie, podnoszą wzorowe wypełnianie przyjętych na siebie zobowiązań i delikatność.

Wykonywanie wszelkich czynności przez funkcjonarjuszów **„Concordji“** odbywa się z podziwu godną punktualnością, szybko i zręcznie, a w sposób iście chrześcijański. Czystość wzorowa panuje we wszystkich przyrządach, dekoracjach i urządzeniach pogrzebowych, tak dalece, że pierwszorzędne tego rodzaju zakłady zagraniczne w niczem nie są w stanie przewyższać. Każdemu też powyższą firmą najsumienniej polecić można, bo kto tylko uda się do niej, w tak przykrych wypadkach, jakie niemal każdą rodzinę dotknąć muszą, będzie zadowolony i z pewnością zachowa żywe uczucie wdzięczności. 5276—4—1.

Kawiarnia Ignacego Łuczko w Rzeszowie, urządzona z komfortem, zaopatrzona w napoje wszelkiego rodzaju, posiada dwa bilardy nowej konstrukcji, prowadzona rzetelnie pod osobistem kierownictwem właściciela, poleca się nadal Szan. P. T. Publiczności. 5275—2—1.

Dr. G. Rosenblith po ukończeniu studjów i praktyki w Wiedniu — w szpitalu św. Łazarza i na **klinice położniczej** u p. **profesora Maderowicza** w Krakowie, a ostatecznie w Berlinie, osiadł stale w Przemyślu i ordynuje od 3—5 po południu.

Dla ubogich od 8—10 rano. 5261—4—1.

Fabryka maszyn i narzędzi rolniczych **p. Fröhlicha w Rzeszowie,** poleca P. T. właścicielom dóbr wszelkie maszyny i narzędzia rolnicze, najnowszej konstrukcji, wykonane sumiennie i po cenach możliwie niskich, wszelkie reperacje maszyn uskuteczuia szybko i starannie. 3274—6—1.

W Słotwinie, obok dworca kolejowego, znajduje się restauracja p. Bętkowskiego, w której dobrze, a nie drogo posilić się można. Przeto zwraca się uwagę P. T. przejezdnych, na tę restaurację, rzetelnie i ze znajomością rzeczy prowadzoną. Wszelkie napoje i przekąski zawsze wyborne i świeże, a usługa szybka i uprzejma. (5230 — 3 — 2).

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.
Illustracje odbite w litografji A. Przyszlaka we Lwowie, ulica Kopernika l. 9.